50 gr.

Ilustrowany Tygodnik Polski

Nr. 33 Rok I



Opłata pocztowa ryczałtem 25 września—2 października 1927 r. Cena 50 gr.

Ilustrowany Tygodnik Polski

CENA PRENUMERATY:
Miesięcznie . . Zł. 1.—
Kwartalnie. . . „ 3.—
Półrocznie. . . . „ 6.—
Rocznie . . . . „ 12.—

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:
Warszawa, Miodowa 5, tel. 28-33 i 2-96
Administracja czynna od godziny 9-ej do 4-ej p. p. Redakcja czynna od 10 do 4-ej p. p. Redaktor przyjmuje od godz. 1-ej do 3-ej p. p. Rękopisów nadesłanych Redak cja nie zwraca.
Konto P.K.O. Nr. 14315 Konto P.K.O. Nr. 14315

CO TYDZIEŃ OSOBNY DODATEK „ROZMAITOŚCI LITERACKIE I NAUKOWE" ORAZ OSOBNY DODATEK POWIEŚCIOWY I NAGRODY ZA ROZWIĄZANIE ZADAŃ

Rok I. Warszawa - Kraków - Lwów - Poznań - Wilno - Łódź - Gdańsk Nr. 33

Kartki z raptularza

A U NAS NIC... Jak z kamienia idzie naszym funkcjonarjuszom państwowym, od roku nadaremnie kołatającym do rozmaitych klamek drzwi, posłów i dygnitarzy o poprawę swego nieszczęsnego bytu.

Klamki są nieczułe, drzwi, jeśli się otwierają, to po to, by się jeszcze prędzej zamknąć na dwa spusty, posłowie, mocni w deklamacji, niemocni są w czynach, dygnitarze zaś hojnością obietnic spychają sprawę z dnia na dzień.

Słowem, wszystko po dawnemu. Omnibus z zabiedzonymi pasażerami jak ugrzązł na błotnistej drodze, tak ani rusz — ni wprawo, ni wlewo. Niecierpliwią się, mizernieją coraz bardziej, chcieliby choć szkapom podsypać trochę obroku, byle jechać dalej, ale cóż, skoro i na to nie starcza.

Źle się dzieje. A tu na domiar jeszcze wieści o tem, jak u sąsiadów wydatnie poprawia się dola urzędnicza. Chociażby w Niemczech, gdzie biurokracji jest stosunkowo o sześć razy więcej, niż u nas, urzędnik stał się troską państwa i żyć będzie, jak człowiek, mający prawo i do życia i do kultury.

A przecież i nasz funkcjonarjusz państwowy to nie parobek, odrabiający pańszczyznę, lecz i obywatel, jak dotąd, chwalić Boga, pełen wartości i cnoty, a więc tembardziej w zdrowym interesie państwa zasługujący na całkowite i pilne wsłuchanie się w jego potrzeby i sprawy.

Z KART POWOJENNEJ KULTURY... Każda wojna w okresie po niej następującym rodzi chamstwo. W huku dział zanikają walory ducha, gazy trujące upodobniają człowieka do prześladowanego szczura, a klekot karabinów maszynowych, rwących ciała na strzępy, przeistacza ludzi w drapieżne zwierzęta, żądne krwi i męki.

Nic też dziwnego, że wyrazem obecnych zainteresowań nie tylko u nas, lecz wszędzie, stał się ten czy inny parobek amerykański, wybijający zęby w boksie, albo mniej lub więcej obrzywliwa opuchłołyda baba, rzucająca dyskiem czy kulą, której portrety szpecą później rozmaite ilustracje świata.

Sztuka, nauka, literatura to kopciuszki, ledwie tolerowane, jak ubogie krewne w rodzinie, umiejącej podziwiać tylko tego wujka, co dobrze bije pięścią, albo maszkarę ciotkę, co wpław weźmie najszerszą choćby rzekę.

Przed nimi korzą się tłumy, to bohaterzy i triumfatorzy, a jeżeli jeszcze który potrafi przez 200 (wyraźnie dwieście) godzin tańczyć „charlestona" albo połknąć zająca na surowo, to wprawi w osłupienie świat cały i rzuci go do swoich stóp, jak niewolnika.

I dlatego uczony, wysłany przez jedno z towarzystw handlowych nia ziemię Baffina dla dokonania badań, ginie z głodu wśród wiecznych lodów, bo... zapomniano dowieźć mu żywności.

Zapomniano, bo ktoby tam myślał o bohaterstwie uczonego dziś, gdy bohaterem staje się byle pięściarz, byle smarkacz, kopiący piłkę nożną, byle pięściarz, baba, fotografująca swe lędźwia w obnażającym ją kostjumie kąpielowym.

Czas na zwrot i zastanowienie, bo inaczej:

— Hańba! hańba, hańba!

ZA DUŻO UROCZYSTOŚCI... Niema chyba kraju na świecie, w którym byłoby tyle uroczystości, co u nas.

Co dnia uroczystość i pompa, niedługo będzie co godzina, a potem stanie się chyba chorobą nagminną, która, jak kołtun polski („plica polonica") przejdzie do medycyny, studjowana przez psychjatrów.

Zupełnie, jak u dzikusów, którzy korzystają z byle okazji, by zaprodukować swój taniec wojenny.

Nie chcemy twierdzić, by społeczeństwo nie miało prawa do organizowania uroczystości. Ale musi być do tego powód, ne byle wystawa czy jubileusz, dajmy na to, firmy ślusarskiej. Niech i ci robią sobie uroczystość, ale w swojem kółku, bez pompy narodowej i sztandarów (cechowe dopuszczalne).

Obrzydły już ludziom nieustanne wiwatowania i mowy, przecinania wstęg i parady, uroczyste twarze, nastawione w aparat, i różne inne nieodzowne akcesorja, które zaczynają wzbudzać uśmiech pobłażania i politowania.



Ileż trwonimy na to wysiłków i energji, ileż czasu marnujemy, zabierając go i sobie i innym, ileż rzucamy w niwę życia polskiego pustych ziaren, z których jedynie wyrastać mogą chwasty tramtadracji, zagłuszające zdrowe kwiaty wytężonej pracy, szarej, codziennej i cichej, która nie potrzebuje pompy i parady.

Musimy wytrzeźwieć, gdyż czad nieustających uroczystości mąci nam głowy... Nie wątpimy, iż nastąpi to siłą rzeczy, gdyż ogół coraz kwaśniej spogląda na mistrzów ceremonji i śmiać się poczyna nieuroczyście.

Z mojej karjery... Wywiad XXX

Juljusz German

Gawędy o karjerze artysty przeważnie rozpoczynają się od opowiadania o pierwszych nieśmiałych poczynaniach budzącego się talentu, które z trudnością jednak zaliczyć można do sztuki: dramaty w kilku odsłonach z prologiem, epilogiem i apoteozą, soczyste liryki, pełne zerowatego smętku, skomplikowane rozprawy z pięciobojem conajmniej filozofji, super-realistyczne romanse — oto zwykłe młodociane tematy, debiutujących.

Inaczej poczynał sobie Juljusz German, który, okazuje się, wstępnym bojem odrazu wzbił się na wyżyny Parnasu.

— Pierwszą próbę literacką — mówi nam German — popełniłem w dwudziestym drugim roku życia i przedstawiłem ją do konkursu we Lwowie. Zachęcony byłem wprawdzie przez Stefana Pawlikowskiego, a z pewnością onieśmielony byłbym, gdyby doszły mnie odrazu słowa, któremi przyjął moją sztukę słynny znawca literatury, profesor Pilat, należący do grona „jury" konkursowego.

— Mam tu sztukę jedną — oświadczył swoim kolegom — trochę warjacką, ale możebyśmy ją odczytali...

Nie była pewnie tak „warjacka", moja „Lilith", gdyż zaszczycony zostałem jednogłośną oceną, przedstawiającą mnie do I-ej nagrody.

Profesor Pilat również dostał przy sposobności niespodziewaną nagrodę, a to w postaci olbrzymiego kosza kwiatów, który mu posłał poczciwy Pawlikowski z treściwą, a tak pochlebną dla mnie kartką: „Stefan Pawlikowski — odkrywcy Lilith".

Poczciwy Pawlikowski! Wiele mu zawdzięczam i nigdy nie zapomnę, z jakim pietyzmem wystawił tę pierwszą sztukę moją, która zdobyła sobie we Lwowie i Krakowie powszechne uznanie.

Wkrótce dałem się poznać i w Warszawie, gdzie „patronem" moim stał się Władysław Jabłonowski przez napisanie entuzjastycznej krytyki o zbiorze moich nowel p. t. „Historje o Pajacach".

W Warszawie również drukowałem „Noc", która się ukazała w „Kurjerze Warszawskim", oraz tom nowel p. t. „W gospodzie pod trzema zbójami".

Trudno jednak wciąż kroczyć po wyżynach. Czasem, w najlepszej



JULJUSZ GERMAN
powieściopisarz i dramaturg.

„passie" powodzenia, przychodzi taki moment, gdy coś się zerwie, choć często nic nie ma to wspólnego z napięciem talentu artysty.

Było to w Krakowie.

Wystawiano mego „Mściciela". Nie wiem wprost, co mogło się stać pieczołowitym zazwyczaj reżyserom, fakt jednak, że „Mściciel" został ujęty w tak realistyczny sposób, iż cała sztuka straciła na uroku. Pamiętam zwłaszcza, jak w jednej ze scen Wysocka, grająca bohaterkę powstania, skazaną na chłostę, takie dostała baty, iż skóra wszystkim cierpła, szczególnie na odgłos „robionego" za kulisami ponurego świstu plag.

Wojna przerwała moją działalność literacką. Wciągnąłem się, polubiłem służbę wojskową i całkowicie oddałem się jej, zamiast pióra— atramentowy ołówek i książka polowa...

Pierwsza rzecz moja po wojnie, „Światła zdaleka", której skądinąd niewiadomo dlaczego przyklejono etykietę spirytystyczną, uważam osobiście za najlepszy z moich utworów. Miałem, zresztą, liczne dowody, iż cieszył się wzięciem wśród czytelników.

Muszę tu pochwalić się pewną nagrodą, którą uważam za najmilsze wyróżnienie, największą satysfakcję w mojej karjerze literackiej.

To mówiąc podaje nam Juljusz German króciutki list, skreślony na żałobnym papierze, anonim, ale jakże wzruszający dla pisarza, któremu snać udało się nawiązać bliski kontakt z duszą czytelnika.

„Imienia mego — powiada w swoim liście nieznajoma korespondentka — nie piszę, bo i co po niem? Miłą może jednak będzie panu świadomość, że w ogromie nieszczęścia mego — balsamem słodkim była mi książka Jego i że Pana błogosławię!"

— List ten zawsze mam pod ręką na biurku i nieraz go czytam z prawdziwem wzruszeniem...

Wydałem następnie, słusznie czy nie słusznie, nazwane „astralnemi", „Skrzydła" i „Twarz za kurtyną". Nie słusznem, w każdym razie, jest to, co powiadają, zwłaszcza o drugiej z tych rzeczy, że starałem się w niej podać jedno z prawdziwych zdarzeń z życia stolicy. Zbieg okoliczności, może frapujący, ale najzupełniej wypadkowy.

Prawdziwą przykrością była dla mnie „Iwonka". Powiadają, że dla większej popularności pisałem to dla kina, a ekran na który wypadkowo dostała się „Iwonka" właśnie przyczynił się do tego, żeby mi ją obrzydzić. Wdzięczny byłbym czytelnikom, gdyby zechcieli podzielić ten mój pogląd.

Nowe niepowodzenie to nieszczęśliwy mój „Cherubin". Tu, znowu, wszystko mam do zawdzięczenia przypadkowi. Pisałem „Cherubina" dla Teatru Narodowego, oddałem go w tem przekonaniu Osterwie, a stało się inaczej...

Oczywista, że wystawienie „Cherubina" w teatrze Letnim, musiało przesądzić o powodzeniu sztuki.

Ostatnia moja rzecz — to „Usta o zmroku", a wkrótce przyjdzie kolej na wielką powieść, na razie jeszcze bez tytułu, która wkrótce ukaże się w druku.

Dziwnem byłoby, gdybym nie powiedział, jak wszyscy autorzy, że tę rzecz właśnie uważam za najlepszy z moich utworów, choć, przepraszam, bo jeszcze druga rzecz zasługuje na moje osobiste wyróżnienie, to pewna sztuka teatralna, którą, pomimo niepowodzenia „Cherubina" chcę wystawić w bieżącym sezonie.

Jestem niezrażony — konkluduje z uśmiechem German, — a to najgłówniejsze. Dla miłości sztuki trzeba umieć przepuszczać mimo uszu i naganki... *E. R.*

Fotografja staje się sztuką...

Zainteresowanie „Międzynarodowym Salonem Fotografji Artystycznej“ w Warszawie zatacza coraz szersze kręgi.

Obserwujemy zwiedzających.

Zaskoczony rewelacyjnem zjawiskiem, iż fotografja istotnie wkroczyła w dziedzinę sztuki, nie jeden z amatorów, który dotychczas zadawalniał się mechanicznemi „zdjęciami“ widoczków, portretów i grup, obiecuje sobie bliżej zbadać ten postęp, zwłaszcza że wystawcy byli i są, przeważnie, tylko miłośnikami.

Więc budzi się nieraz u zwiedzającego szlachetna ambicja współzawodnictwa, która przysporzy ogółowi artystów, umiejących odtwarzać piękno otaczającej nas przyrody.

A że fotografja jest dostępną gałęzią sztuki, skończy się może nareszcie w wielu domostwach panowania ohydnych „kiczów“, martwych oleodruków i innych temu podobnych, o pomstę do nieba wołających, „przedmiotów sztuki“...



Plater-Zyberg: Fragment z Chorzowa



T. Wański: Krajobraz.

Czy ogrodnictwo w Polsce ma widoki przyszłości?

Będzie może dla wielu niespodzianką, jeżeli powiem, że w okresie dziewięciu lat od przywrócenia państwowości polskiej w niewielu gałęziach pracy zrobiono w Polsce tak wiele, jak w ogrodnictwie. Wykazała to dowodnie urządzona w jesieni ubiegłego roku w Poznaniu Wystawa Ogrodnicza, która przyniosła niespodziankę społeczeństwu, a po części samym ogrodnikom. Społeczeństwo ujrzało ze zdumieniem jaki ogrom różnorodny stanowi ogrodnictwo, jak ono u nas już stanęło, jakim może podołać zadaniom; ogrodnicy zawodowi przekonali się, że wysiłkiem każdego z osobna postawiono pewne działy na wyżynie, może nie dorównującej jeszcze zagranicy, ale świadczącej o realnej możności dorównania niezadługo najwyżej pod tym względem stojącym narodom.

Niepodobna nie podkreślić faktu, że zainteresowanie społeczeństwa ogrodnictwem, wywołane tą wystawą, dodało ogrodnikom zawodowym ochoty i energji. Praca ich po wystawie ruszyła z miejsca w tempie, nawet przez optymistów nieprzewidywanem. W ciągu roku bieżącego ogrodnicy zawodowi wszędzie wzmogli pracę nad budową szklarń, nad podniesieniem swych warsztatów i przystosowaniem ich do najnowszych wymogów postępu, ujednostajnili dążenia indywidualne tak, że dziś jesteśmy już świadkami rodzącej się specjalizacji. Widać to w warzywnictwie, hodowli róż, goździków i t. d. Ogrodnictwo prywatne ruszyło z miejsca zarówno u wielkiej, jak i u małej własności, a nawet wśród ludności miejskiej — dość wspomnieć, że ogródki działkowe np. w Poznaniu były w tym roku typowym przykładem entuzjastycznego wprost przejęcia się działkowców ideą ogrodnictwa.

Po wystawie poznańskiej, na podstawie zaobserwowanych już jej skutków, można tedy stwierdzić, że:

1) ogrodnictwo polskie ma wszelkie widoki rozwoju, któryby w ciągu kilku lat umożliwił państwu samostarczalność w tej dziedzinie produkcji;

2) u zawodowców jest pełne zrozumienie sprawy i widać pęd do sprostania temu wielkiemu zadaniu.

3) w sferach rolniczych jest coraz większe zainteresowanie się czynne ogrodnictwem;

4) w społeczeństwie jest należyta ocena dotychczasowego wysiłku ogrodników i szczerą chęć popierania ogrodnictwa rodzimego.

Są więc wszelkie dane potemu, aby ogrodnictwo w najbliższej przyszłości stało się w Polsce tem, czem być powinno, a więc nietylko warsztatem pracy dla coraz większej liczby ludzi, nietylko terenem produkcji, pokrywającej zapotrzebowanie wewnętrzne — czego dziś jeszcze niema — ale ponadto źródłem poważnych dochodów, osiąganych przez wywóz płodów i przetworów ogrodniczych za granicę.

Cel ten nie da się osiągnąć w krótkim czasie samą tylko dobrą wolą, energją i zapałem ogrodników i miłośników ogrodnictwa. W pracy tej musi wziąć udział państwo, a więc rząd, z natury rzeczy powołany do regulowania i nastawiania życia gospodarczego według potrzeb społeczeństwa i państwa.

Z uznaniem i wdzięcznością muszę podnieść, że jeśli chodzi o zrozumienie gospodarczej doniosłości rozwoju ogrodnictwa, rządy w Polsce od samego powstania państwa zrozumienie to miały. Przejawiło się ono dobitnie w użyczeniu ogrodnictwu polskiemu ochrony celnej. Nie ulega wątpliwości, że gdyby nie ta ochrona, ogrodnictwo nasze nie byłoby się w ciągu tych dziewięciu lat tak podniosło i tak rozwinęło, jak tego dziś jesteśmy świadkami. Skutki ochrony celnej były wielorakie. Ogrodnicy, nie mogąc wskutek wysokiego cła sprowadzać z zagranicy roślin — w formie, którą dla skrócenia nazwę półfabrykatem — musieli zacząć hodować je sami. Nie mogąc sprowadzać nasion, musieli podjąć własną ich produkcję. Ochrona celna stała się tedy przyczyną powstania u nas, względnie rozwinięcia, tych działów ogrodnictwa, których, dziś nie byłoby wcale, a które mają dla sprawy znaczenie fundamentalne. Rząd odegrał w tym wypadku rolę kierowniczą, zmuszając ogrodników zawodowych do pracy w tych gałęziach, do których ci ogrodnicy nie byliby się zabierali, gdyby mieli nieprzerwaną możność zaspakajania potrzeb sprowadzaniem towaru z zagranicy. Z drugiej strony przez zakaz przywozu np. kwiatów ciętych, rząd zmusił społeczeństwo do zadawalania się produkcją naszych ogrodów, stwarzając przez to możność rozwinięcia się tych działów ogrodnictwa w kraju. Niewątpliwie ochrona celna jest pewnem faworyzowaniem. Ale jeśli idzie o produkcję, wynikającą z naturalnych właściwości kraju, o produkcję, której czasowa ochrona specjalna umożliwia skrzepienie i zdecydowany rozwój, wtedy celowości ochrony nie można kwestjonować.

Społeczeństwo nie może odczuwać ujemnych skutków ochrony celnej, a jeśli je odczuwa, to nie jest winą ogrodnictwa. Jeśli np. w Krakowie w lipcu r. b. kilogram czereśni kosztował 3 zł. 60 gr. to przyczyna tego nie tkwi w zakazie dowozu czereśni z zagranicy, czyli w ochronie celnej, ale w złym rozdziale produkcji, w złej organizacji handlu, a może i w zbytniej chciwości handlarzy. Przecie w tym samym czasie kilogram czereśni kosztował w Poznaniu 1 zł. 40 gr. i to była cena wysoka, spowodowana nieurodzajem czereśni w tym roku w tej dzielnicy.

W Niemczech wprawdzie niema ochrony celnej ogrodnictwa w odniesieniu do pewnych krajów. Przyczyną jest taki stan ogrodnictwa, że już ochrony celnej nie potrzebuje. Po części jest to również skutek traktatów handlowych. Rząd niemiecki wynagradza ogrodnikom brak ochrony celnej niesłychanie wydatną pomocą finansową w długoterminowych tanich kredytach. W tych sprawach nie można zresztą uciekać się do analogji z państwami, które od wieków bez przerwy istnieją i mają oddawna uregulowany organizm gospodarczy.

My pracujemy w warunkach zgoła osobliwych. Polska posiada niepodległość, ale organizm gospodarczy dopiero sobie buduje. Musi więc działać nie według analogji, ale według własnych potrzeb. Ogrodnictwo, najbliższe rolnictwu, może stanowić z przyczyn naturalnych tak samo poważną dziedzinę, jak rolnictwo. Trzeba mu więc dać to, czego potrzebuje, by mogło osiągnąć cel ten. Gdybyśmy w ciągu jednego pokolenia doprowadzili do tego, by Polskę nazwano krajem rolniczo-ogrodniczym, a do tego dążyć trzeba, bo to jest osiągalne, stworzylibyśmy realne podstawy szczęścia naszych potomnych i dobrobytu państwa. Dla takiego celu



Hodowla tulipanów i hiacyntów w znanych zakładach G. Hentschla w Toruniu.

można przez jakiś czas ponosić nawet pewne ofiary, jak np. te, by jeść kalafiory dwa tygodnie później, niż je jedzą we Włoszech, wąchać róże i goździki polskie trochę później, niż w Nicei, rozsmakować się w naszych jabłkach, by ich nie sprowadzać z Tyrolu, Australji i Kanady. Od takich ofiar nikt nie schudnie.

Dla szybkiego rozwoju ogrodnictwa potrzebne są oczywiście i pieniądze, o które u nas jeszcze ciągle trudno. Znaleźć się one powinny, choćby ze względu na to, że udzielone ogrodnictwu, dają sto procent pewności, iż się zwrócą z poważnym zyskiem dla państwa nie po paru miesiącach, zapewne, ale w każdym razie znacznie szybciej, niż w jakiejkolwiek innej dziedzinie. Ogrodnictwo polskie potrzebuje kredytów na okres bodaj pięcioletni — a więc kredytów stosunkowo krótkoterminowych, gdy się zważy, że przemysł bierze kredyty na lat 30, — a to dla umożliwienia ogrodnikom handlowym budowy szklarń i zakupu nowoczesnych urządzeń dla podniesienia sprawności ich warsztatów pracy. Tego rodzaju kredyt, udzielony przez państwo, w kwocie nie większej, niż dwa miljony zł., odbiłby się już za trzy lata z nawiązką na polskim bilansie handlowym.

Myśląc o rozwoju ogrodnictwa nie można się zasklepiać w chwili dzisiejszej. Trzeba patrzeć w przyszłość. Runęłaby cała, tak pięknie się zapowiadająca budowa, prowadzona przez dzisiejszych ogrodników, nie doszlibyśmy do wyniku, do jakiego dojść winniśmy, gdybyśmy stale i systematycznie nie przygotowywali coraz to liczniejszych za-



Piękna hodowla kwiatów (Eremurus Rob.) w zakładach G. Hentschla w Toruniu.

stępów zawodowych ogrodników i ogrodniczek. Musi się specjalną pieczą otoczyć szkoły ogrodnicze, aby wychodzący z nich uczniowie i uczenice mogli rozpoczęte dzieło nietylko dalej prowadzić, ale je podnosić, rozwijać i udoskonalać. Niestety, szkoły ogrodnicze nie cieszyły się u władz centralnych i nie cieszą się dotąd już nie poparciem, ale nawet równorzędnością w traktowaniu z innemi zakładami naukowemi. Dość wspomnieć, że wszystkie szkoły ogrodnicze u nas są tak uposażone, iż nie mogłyby wogóle istnieć, gdyby nie osobista zapobiegliwość ich kierowników. Ci ludzie, istne ofiary ogrodniczej pasji, utrzymują szkoły tem... że je zamienili na ogrodnictwa handlowe. Zasadnicza reforma jest konieczna. Rząd, który ją wprowadzi, odda sprawie ogrodnictwa przysługę, niemniej doniosłą, jak czasowa ochrona celna.

Co do ochrony roślin jakoteż walki ze szkodnikami, prawodawstwo nasze i działalność propagandowa rządu zasługuje na pełne uznanie. Kontynuowanie tej pracy wystarczy, aby potrzeby ogrodnictwa były zaspokojone, a rozwój ułatwiony.

Dział niezmiernej wagi stanowi w ogrodnictwie owocarstwo. W tym kierunku jest u nas do zrobienia bardzo wiele. Na ziemiach naszych udają się prawie wszystkie owoce. Możemy ich produkować tyle, by nietylko sobie wystarczyć, ale poważny pieniądz ściągać za nie z zagranicy. Do tego potrzeba ujednolicenia produkcji, a więc racjonalnych sadów handlowych. Nastręcza się tu piękna sposobność do realnej i w skutkach plennej bardzo pracy dla samorządów. O ile mi wiadomo, samorządy w kieleczyźnie weszły na tę drogę i



Hodowla szklarnianych kwiatów ozdobnych (Poinsettia pulch.) w zakładach G. Hentschla w Toruniu.



Szkółka grusz trzyletnich w Górcach.

już mogą się poszczycić założeniem całego szeregu pierwszorzędnych sadów handlowych po wsiach. W Wielkopolsce niektóre wydziały powiatowe już również weszły na tę drogę. Należy sobie życzyć, by akcja ta ogarnęła cały teren Rzeczypospolitej. Dla powodzenia jej nieodzownym warunkiem jest, by każdy powiat, łożący fundusze na sadownictwo, miał etatowego ogrodnika, któryby roztaczał stałą opiekę nad założonymi sadami.

Samorządy miejskie stoją przed wielkiem i pięknem zadaniem tworzenia kolonji ogródków działkowych. Jest to problem, mający znaczenie więcej społeczne, niż ogrodnicze, poruszam go jednakże, bo z doświadczenia wiem, jak pożyteczną jest ta akcja i jak ona pośrednio służy ogólnej idei rozwoju ogrodnictwa.

W pracy nad postawieniem ogrodnictwa na wyżynie choćby samowystarczalności nie może braknąć współdziałania społeczeństwa. To wszystko, co się nazywa organizacją rynku zbytu, a więc rozumne, równomierne rozdzielenie produkcji ogrodniczej, normowanie cen i t. d., to należy do społeczeństwa. Niewłaściwością, że tak skromnie się wyrażę, jest fakt, iż w roku bieżącym truskawki z pod Warszawy były w Gdańsku tańsze, niż w Warszawie i Poznaniu. Wynikło to nie tyle z winy ogrodników, ile wskutek braku organizacji handlu. Temi sprawami powinno zająć się społeczeństwo przez swoje kooperatywy i związki. Wiele zrobiliśmy w ogrodnictwie, a zrobić mamy jeszcze więcej. Potrzebujemy tylko współpracy rządu, zajęcia się ogrodnictwem przez samorządy, przystosowania się społeczeństwa do wzmożonej własnej produkcji ogrodniczej, a ogrodnictwo stać się może u nas niezadługo źródłem dobrobytu mas i poważnych dochodów państwa.

Władysław Marciniec
dyr. ogrod. miejsk. w Poznaniu.

Ogrody strojne



Fragment z parku Marcinkowskiego w Poznaniu.

„Pokaż mi swój ogród, a powiem ci kim jesteś“ — możnaby śmiało i w ten sposób strawestować twierdzenie, przypisywane powszechnie anglikom. I trzebaby przyznać im rację. Ogród strojny — to dalszy ciąg mieszkania, to letni salon, to miejsce rozrywki, oderwania od obowiązkowych zajęć codziennych, to teren odpoczynku, polegającego na bezpośredniem obcowaniu z przyrodą, a zetknięcie z nią koi rozigrane nerwy, odrywa myśl od trosk powszednich i uszlachetnia duszę.

Rozumiano to już w starożytności, i dlatego najkulturalniejsze narody owych czasów posiadały wspaniałe ogrody. Egipt, Assyrja, Persja i Turcja słynęły z rozległych parków. Komuż choć ze słyszenia nie są znane wiszące ogrody Semiramidy, opisywane przez współczesnych i potomnych, uznane za jeden z siedmiu cudów świata? Urządzone w okresie pomiędzy rokiem 2000 a 1900 przed narodzeniem Chrystusa Pana, na lewym brzegu Eufratu, składały się ze sztucznie urządzonych tarasów, wspartych na kosztownych murach, i zawierały umiejętnie przeprowadzone strumienie, kaskady i liczne altany.

A cóż z nich pozostało?

Nic, prócz wspomnienia, prócz przykładu dla innych.

Ale przykład nie przeszedł bez echa. Historja przekazała nam sławę ogrodów w Antiochji, założonych w okolicy skalistej, poprzecinanej mnóstwem groźnych przepaści, obfitujących w liczne strumienie i chłodne, obszerne groty. Historja notuje ogrody królów perskich w Małej Azji, bardzo gustownie urządzone. Składały się one z terenów, obsadzonych drzewami owocowemi, warzywami, kwiatami i drzewami dzikiemi. Wszystkie te części były powiązane alejami

i gajami z cyprysów, platanów i palm. Niekiedy ogrody składały się z tarasów, a każdy taras był obsadzony innym gatunkiem drzew.

Więc już w tak dawnych czasach były znane drzewa owocowe?

Były znane, bo Mała Azja uchodzi za ojczyznę niektórych gatunków. W ogrodach perskich rosły: brzoskwinie, morele, śliwy, morwy, figi, jabłonie, grusze, pigwy, pomarańcze, cytryny, orzechy włoskie, winorośl i oliwki.

A w Europie?

Słynęły ogrody Alhambry, urządzone przez Arabów. Jak we wszystkich ogrodach owych czasów, urządzanych w gorących częściach kontynentów obfitowały strumienie lub baseny, zasilane wodą, nieraz sztucznie pompowaną.

A jaka rola przypada w dziedzinie ogrodnictwa rzymianom, u których przecież kultura ogólna stała wysoko?

Ogrody ich odpowiadały poziomowi ich kultury. Nie było domu patrycjusza, który nie zawierałby wewnętrznych dziedzińców, pełnych kwiecia, basenów i wodotrysków. Perystyl, otoczony kolumnadą, impluvium z fontanną, atrium — zastępowały pokoje mieszkalne. Przy siedzibach wiejskich, obok ogrodów użytkowych, są często wspominane w opisach parki dzikie, zwane „Paradisus". Władcy Rzymu też nie szczędzili kosztów na zdobienie swych siedzib, położonych często na malowniczych, skalistych brzegach morskich.

Czy z upadkiem Rzymu i ślady tych ogrodów znikły?

Niezupełnie. Na gruzach parku cesarza Hadriana powstała po dziś dzień sławna z piękności Villa d'Este, urządzona około r. 1540. Villa Aldobrandini znacznie przenosiła świetność ogrodów Lucullusa, Villa Pamfili powstała w r. 1644 tam, gdzie niegdyś rozpościeraly się ogrody cesarza Galby.

A czy były one podobne do naszych ogrodów współczesnych?

Nie. Wszystkie drogi w nich były proste, i przeważnie przecinały się pod prostymi kątami. Cechę prostych dróg odziedziczyły jeszcze ogrody włoskie, i utrzymał ją nieśmiertelnej sławy twórca stylu francuskiego, Andrzej Lenôtre (1613 — 1700), założyciel Wersalu, Chantilly, Meudon, Sceaux, Trianon i t. p. arcydzieł sztuk ogrodniczej.

Czy działał on tylko na terenie Francji?

Sława Lenôtra, gorliwie popieranego przez wytwornego protektora sztuki, Ludwika XIV, rozeszła się szeroko po świecie. Jego dziełem są znanne parki angielskie w Greenich, oraz St. James-park, a uczniowie jego (np. Le Blond) i inni naśladowcy, rozpowszechnili styl francuski we wszystkich prawie krajach Europy.

Co charakteryzuje ten styl?

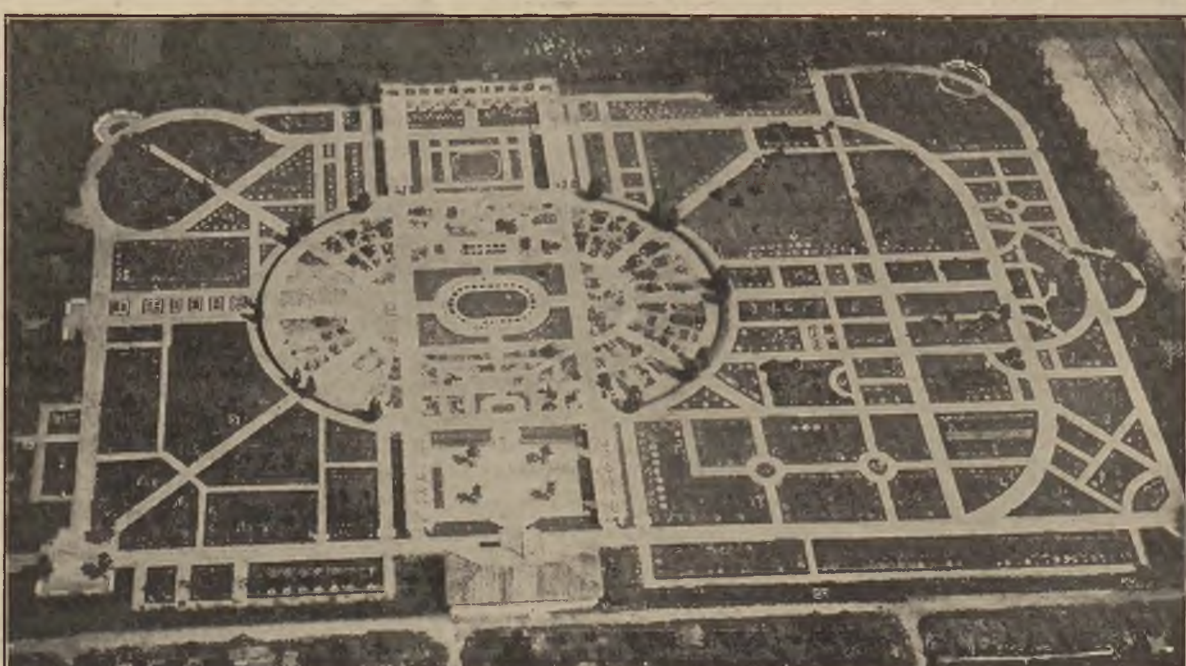
Oś główna w postaci wspaniałej alei, prostopadłej do pałacu, ozdobiona kwietnikami, często zbiornikami wody lub kaskadami, i licznemi dziełami sztuki. Granice tej alei tworzą starannie strzyżone szpalery wysokich drzew, tworzących zwartą gęstwinę. Otoczenie pałacu jest przeważnie w postaci wielkich kwietników o zawiłym rysunku, ujętych w żywopłotki ze strzyżonego bukszpanu. Resztę ogrodu przecinają drogi proste, krzyżujące się placyki, altanki, pawilony ogrodowe, niby zaciszne schronienia dla uczestników i uczestniczek zabaw dworskich, w owych czasach wielkiej swobody obyczajów.

A może zainteresuje was, ile kosztowało założenie ogrodów w Wersalu?

Wydał na nie Ludwik XIV około 200 miljonów franków. Niezliczone wodotryski, artystycznie wykonane, zużywają tyle wody, że zaledwo przez kilka godzin z rzędu mogą być czynne. A na taką uroczystość uruchomiane są specjalne pociągi, dowożące publiczność z Paryża.

Czy styl francuski wywarł wpływ na wygląd ogrodów w Polsce?

Naturalnie. Ożywione stosunki z obecną naszą sojuszniczką, częste wyjazdy naszych magnatów i sprowadzani z Zachodu ogrodnicy, naśladowali u nas wzory zagranicy. Niestety, większość stylowych ogrodów w Polsce uległa przekształceniu pod wpływem nowych prądów i popędu reformatorskiego ich właścicieli, albo ogrodników plani-



Szkolny ogród na Jeżycach w Poznaniu widziany z lotu ptaka.

stów, nie umiejących cenić zabytków sztuki. Świetnym przykładem ogrodu geometrycznego jest Wilanów, park ordynatów Zamoyskich w Klemensowie, park w Posadowie hr. Korzbok-Łąckich i w Pawłowicach hr. Mełżyńskich (Wielkopolska) w Niedźwiedziu koło Wąbrzeźna (Pomorze) i inne. Przerobieniu uległy na modłę nowoczesną ogrody: Saski i Krasiński w Warszawie i wiele ogrodów prywatnych. Często przy objazdach odnajduję w pozbawionych wyrazu ogrodach współczesnych ślady charakterystycznych dla stylu francuskiego prostolinijnych alei, albo regularnych tarasów, lub basenów, ujętych w zarysy geometryczne.

Po linjach prostych przyszła moda na ogrody fantazyjne, oparte na wzorach angielskich, zaczerpniętych z Chin i Japonji, modyfikowanych przez ogrodników niemieckich. Jak w sztuce architektonicznej barok zniekształcił linje i wywołał przeładowanie ozdobami; jak w ogrodnictwie włoskiem odbił się w końcu wieku XVI, powodując upadek stylu, tak samo nadmiar fantazyjności w ogrodach o linjach naturalnych, wywołał niesmak i nudę. Wskutek tego w początku bieżącego stulecia ujawniły się usiłowania skojarzenia form geometrycznych z naturalnemi. Linja prosta, wyklęta w ogrodzie naturalnym, zaczyna sobie coraz więcej zdobywać obywatelstwa, szczególnie w najbliższem otoczeniu domu mieszkalnego, i w małych ogródkach

Obecnie ogrodnik planista dąży do harmonizowania zarysów ogrodu z typem budynku, który stanowi właściwy ośrodek. Dąży też do tworzenia rozległych, spokojnych płaszczyzn trawników, a unika nadmiernego rozdrabiania powierzchni. Trudno w tym szkicu charakteryzować ściślej obecny kierunek ogrodnictwa. Zamiast tego radziłbym lepiej przekonać się naocznie, drogą porównania ogródka, projektowanego przez ogrodnika planistę, z ogródkiem, zakładanym tylko przez właściciela. A takich, niestety, jest olbrzymia większość zarówno na wsiach, jak i w powstających coraz liczniej miastach ogrodach.

Stan. Schönfeld.



Plan parku Skaryszewskiego zyskał sobie w ogólnem zestawieniu prac miasta Warszawy powszechne uznanie na międzynarodowej wystawie w Brukseli.



W tych dniach odbyło się we Francji uroczyste odsłonięcie pomnika poświęconego „Brillat-Savarin", przez rodzinne jego miasto, Belley.

Wśród wielu przemówień, które zostały wygłoszone, na specjalną uwagę zasługują słowa, wypowiedziane przez znanego bohatera wojny światowej, generała Messimy, piastującego dziś godność senatora.

„Sława — rozpoczął generał — ta kapryśna pani, dopiero po śmierci przyszła ukoronować dzieło Brillat-Savarin... Ślepym jest ten, co nie zdaje sobie sprawy, iż ogłada umysłowa idzie w parze ze sztuką przygotowania jadła. Gdy szykujemy przyjęcie, godne naszych gości, — wielcy, czy maluczcy, w wielkich hotelach, czy w skromnych domostwach — przyczyniamy się jednocześnie do rozkwitu sztuki dekoracyjnej, muzyki, tańca, konwersacji, słowem wszystkich tych sztuk, dzięki którym odróżnia się kulturalne narody od prymitywnych".

Kimże był Brillat-Savarin by zasłużyć sobie na takie wyróżnienie? Cóż to za dzieło, które znalazło słuszną ocenę po śmierci jego twórcy?

Brillat-Savarin, człowiek skądinąd, wielkiej kultury, pozostawił po sobie jedyną spuściznę i to napisaną przez siebie „Fizjologję smaku", jako uzupełnienie do szeregu przepisów kuchennych, które również sam komponował.

Nie śmiejcie się. Uroczystości, przemówienia zawierają może za wiele patosu, ale wymownie świadczą o tej francuskiej „radości życia", o której niejednokrotnie już wspominaliśmy.

*

Na rzymskiej wystawie „Mostra Universitaria", podziwiać mogą liczni zwiedzający olbrzymią kolekcję okularów, zestawionych w historycznym porządku ich pochodzenia i dalszego rozwoju.

Okazuje się, że okulary znane były jeszcze w średniowieczu i, jak utrzymują jedni, były wynalazkiem uczonego zakonnika fra Alessandro de la Spina, z Pizy, a według innej teorji, kolebką ich była Wenecja, znana po wsze czasy ze swego przemysłu szklarskiego.

*

Głębokie ogarnia wzruszenie, przy wejściu do katedry w Canterbury, w której jedna z kaplic, pod wezwaniem św. Michała, jest sanctuarium bohaterskiego pułku angielskiego, Ost Kent, który utracił 6.500 oficerów i żołnierzy na polu chwały.

Nazwiska tych bohaterów wypisane są w pięknie ozdobnej księdze, wystawionej na widok publiczny w ten sposób, iż codziennie bywa przewracana jedna tylko karta.

Ceremonji tej dopełniają codziennie dwaj żołnierze, kolejno delegowani przez pułk Ost Kent, przyczem, by nie uszkodzić książki, posługują się srebrną pałką, którą odbierają z rąk zakrystjana.

Kaprysy kwiatów



Platicerium grande, cudaczny pasożyt na martwych przedmiotach, rozparło się na drewnianej donicy.

Rękę wyciągamy po cudny kwiat róży i ostrożnie omijamy jeżące się na łodyce kłujące kolce. Cóż prostszego? Wszak wiemy, że „niema róży bez kolców", że natura obfituje w podobnego rodzaju kaprysy kojarzenia piękna z niebezpiecznem, starannie ukrywając, pod wielce przyciągającą niekiedy maską groźne wprost niespodzianki.

Weźmy naprzykład niewinnych pozorów droserię, którą spotkać można w wielkiej ilości we Francji. Wygląd jej przypomina pospolitą roślinkę, mniszek lekarski. Cudnie perlą się na słońcu jej listki tysiącami blasków, gdyby drogocenny klejnot, leżący na murawie.

Jakże mylą pozory!.. Oto droseria ukrywa niebezpieczną zasadzkę dla tysiąca owadów, które, znęcone zewnętrznym wyglądem listków, siadłyby na nich, blask bowiem, który i nas zachwycał pochodzi z kropelek nie tyle rosy, ile gęstego jadu, tkwiącego na mikroskopijnych włoskach, który je wydziela. Biedna muszka, co niebacznie spoczęła na tych listkach, już nigdy nie wyciągnie łapek ze zdradzieckiego lepu, a jad rozłoży ją w ten sposób, iż w parę dni później znajdujemy jeno szkielecik owada.

Niemniej groźny jest nepenthes intermedia, który na końcu liści nosi dziwacznej formy torby, podobne do fajki z wieczkiem, — grób specyficznych kształtów dla owadów, samotrzask, który się zapada, skoro tylko obcy, choćby najmniejszy ciężar spocznie na wieczku. A dalej, w czeluściach zasadzki, następuje rozkład ofiary przy pomocy specjalnych soków, które jak sok gastryczny w żołądku ludzkim pomagają trawieniu.

Znaliśmy zwierzęta, żywiące się roślinami, aż tu, dzięki kaprysowi natury, wszystko na opak — mięsożerne rośliny.

A flora obfituje w podobne zjawiska, często zwłaszcza w strefach podzwrotnikowych.

Inne rośliny odznaczają się szczególnymi obyczajami, które je czynią podobnemi do ludzi i zwierząt.

Oto sparcata bengalska, wciąż w poszukiwaniu maximum promieni słonecznych stara się przedrzeć cień otaczających ją innych roślin, więc buja się miarowo, raz tą, raz inną stronę swych liści wystawiając



Tillandia durati owija się wokół drutu przedziwnie oplatając atrofiowane liście z łodygą.

ku światłu. Bujanie się to, niezależne od wiatru, podobne jest zgoła do jakiegoś osobliwego tańca św. Wita.

Inne rośliny znów układają się do snu, gdyby chciały się schronić przed światłem, jeden do drugiego. przytulając do siebie listki, a czasem, jak np. koniczyna, taką parę listków z góry przykrywając osobliwym daszkiem z trzeciego listka.

Do takich roślin z pospolicie nam znanych należy akacja, mimoza, łubin i wiele innych.



Cudaczna fajka, na liściach nepenthes intermedia jest straszną pułapką dla owadów.



Cudaczna roślina, jak zwój trzewi ledwo mieści się w donicy.

Niektóre rośliny, jak np. victoria regia, nenufar amerykański, zdala już chronić chcą swe kwiaty od napadu intruza, wydzielając ze swych olbrzymich, bo 2 metrowej średnicy liści wstrętny fetor, podobny do zapachu rozłożonego trupa.

Inne rośliny znów bez żadnej przyczyny, gdyby urągając elementarnej estetyce, przybierają najpokraczniejsze formy, jak np. welwitia mirabilis, spotykana w Afryce, której średnica dochodzi do 5 metrów, przy wysokości 50 cm.

Niepodobna opisać tych niezliczonych kaprysów, w których flora się lubuje, a najbogatszego chyba materjału dostarczyć mogą tysiączne wprost odmiany storczyków, o których możnaby napisać całe tomy.

Niedawno powróciliśmy z letnich wywczasów, podczas których blizko obcowaliśmy z przyrodą, większość z nas nie posiada niestety, żadnego przygotowania w dziedzinie przyrody. A gdybyśmy znali, choć podstawowe elementy tej nauki, ile byśmy mogli zrobić ciekawych obserwacyj, o ile więcej cenilibyśmy przyrodę i jej niezliczone bogactwa, o ile przyjemniej spędzilibyśmy ten krótki czas odpoczynku od trosk codziennego, szarego życia...

Pod hasłem oszczędności



Rada Instytutu Oszczędnościowego pod przewodnictwem wiceprezesa P. K. O. p. Michcińskiego opracowuje program „dnia oszczędności", który się odbędzie w październiku.
Oby wydał jaknajwiększe rezultaty i oby wreszcie hasło oszczędności poczęło święcić triumfy u nas nie mniejsze, niż u innych skrzętnych i gospodarczych narodów

Radość życia we Francji



Antyrządowo snać usposobiony łabędź nie chce się zadawać z członkami gabinetu francuskiego, choć goni za nim znakomity mąż stanu, jak Barthou. Ta zabawa z łabędziem, beztroska i w międzyczasie pomiędzy załatwianiem doniosłych spraw państwowych doskonale ilustruje radość życia Francuza. Objaw, godny zazdrości, zwłaszcza u tych, którzy tej radości albo nie mają, a jeżeli się gdzie pokaże, to ją tępią zaciekle, jak wroga.

Nowy sukces międzynarodowy



Nielada zaszczytu dostąpił wydział ogrodów miejskich naszej stolicy przez otrzymanie najwyższej nagrody na Wystawie Międzynarodowej w Brukselli. Dzielnemu kierownikowi ogrodów stołecznych, p. L. Danielewiczowi, należą się gorące wyrazy uznania za ten znakomity sukces

Z Wystawy kolejnictwa



Polskie Koleje Państwowe pięknie wystąpiły na Wystawie Komunikacyjnej we Lwowie,

Autor „Ognia" w Moskwie



Monokl w oku, laska jak dandys — oto jak wygląda francuski defetysta i szczery druh bolszewików, Barbusse bawiący obecnie w Moskwie. Sowiety ze skóry wyskakują, byle naprawić swoją sytuację międzynarodową, bardzo nadszarpniętą ostatniemi czasy. Niestety, znajdują poplecznikow.

Maskarada kostjumów narodowych w Rosji sowieckiej



Inscenizując międzynarodowy charakter bolszewizmu „Komsomolcy", nie zapomnieli i o Polsce. Ciesz się, proletarjuszu, nigdy jeszcze tak paradnie nie wyglądałeś... prawie jak burżuj

Maskarada kostjumów narodowych w Rosji sowieckiej miała cel agitacyjny, by pokazać naocznie, ile to narodów składa się na Sowiety i jakże są szczęśliwe pod czerwonem berłem. Jak propaganda, to propaganda, tylko że coraz mniej niemądrych, co w to wierzą.

Jednodniówka młodzieży akademickiej



Polska młodzież akademicka w Paryżu, zabiegając o zdobycie dalszych funduszów dla swej organizacji, wydała jednodniówkę, której Pan Prezydent Rzeczypospolitej raczył poświęcić swój autograf.

Kandydatka na tron elektryczny



Pierwsza kobieta w Ameryce skazana na karę śmierci na fotelu elektrycznym.

„Czcigodna" małżonka, która wraz z kochankiem zamordowała własnego męża, poddając go najohydniejszym i najstraszniejszym torturom.

Na lądzie, w wodzie i w przestworzach



„Steyer"



„Renault"



„Riley"

Z działalności Antomobilklubu Polskiego

Automobilklub rozwinął w ostatnich czasach energiczną działalność. Po raidach wielkim, górskim i gwiaździstym przyszła kolej na popis pań, a dalej, na konkurs piękności (samochodów). Damski raid, który dzielnie prowadził groźny wąsacz, Wachowski, zastępując tym razem zrosłego z rolą komandora smukłego i bladolicego Grabowskiego, odbył się pod hasłem poskromienia temperamentów, przez wyznaczenie dla zawodniczek maximum dozwolonej szybkości.

Złośliwi utrzymują, że restrykcję tę podyktowała męskim organizatorom zbytnia ostrożność, choć niejednokrotnie piękne panie dawały już dowód znakomitego opanowania maszyny i tempa.

Ale strzeżonego od kobiety i Pan Bóg strzeże.

Więc rozstawiły się wzdłuż parcoursu stacje kontrolne, starannie zamaskowane za gęstwią drzew, by znienacka wypadać na nieszczęśliwe zawodniczki i bezlitośnie kropić punkty karne.

Najgorzej dostało się biednej pani de Lavaux, która nie mogąc snać poskromić, mimo ostrzeżeń, temperamentu, szybowała na szóstce Renault, jakby chodziło właśnie o pobicie rekordu szybkości zapominając, iż jedno zwycięstwo, może jej drugie wytrącić z rąk.

Ach, te stacje kontrolne!

Sprawnie przejechały piękne panie długi parcours i wyciągnęły rączki po zdobyte nagrody.

Pierwsza nagroda, w postaci pięknych kryształów, przypadła w udziale pani Marchlewskiej, drugą nagrodę rozdzieliły sobie panie Tournai i Jabłońska, pani Regulska otrzymała piękną papierośnicę złotą, pani doktór Sadowska, cudny wazon, aż z 3-a gracjami itd. itd.

Ale największa chyba nagroda, którą wszystkie panie narówni zdobyły, to szlachetne zadowolenie sportowe, tem większe, iż, na złość wszystkim męskim sceptykom, dowiodły, że i 668 kilometrów polskich dróg, już im nie imponuje.

W tydzień później odbył się nowy konkurs, tym razem piękności, na którym wystąpiły wszelkiej płci i maści samochody.

Więc męskie Fiaty, kobiece Lancie, a nawet dwupłciowe (pod względem nazwy, którą sobie po żeńsku

spolszczyli nasi szoferzy) Renault i wiele, wiele innych.

Zebrały się maszyny w barwnym zespole, z którego szczególnie wyróżniono pięknego i majestatycznego Lincolna, szczyt wykwintu w dziedzinie samochodów, Hispano mało spotykaną Riley, smukłą Lancię i wdzięczną Renault.
cię.

Ubrane wieńcami maszyny w imponującym korowodzie przemknęły przez miasto, budząc ogólny podziw, a nawet, u specjalnego rodzaju naiwnych laików, zdumienie, iż „widocznie, ktoś zabił się na maszynie, że jedzie z wieńcem".

Uczestnicy konkursu udali się na pole Mokotowskie, gdzie pomieszanie płci samochodowych zmieszało się z gazami (byle nie „z gazem", jak to często na konkursach i raidach), które produkowała L. O. P. P. we wściekłym ataku na miasto.

A dalej...

Dalej już nie pojechaliśmy za konkursem, którego uczestnicy rozjechali się podobno do domów.

Loty nad Oceanem



Hill i Bertaud, którzy na aparacie „Old Glory" usiłowali dokonać przelotu z New-Yorku do Rzymu.

Lindbergh, Chamberlin, Byrd, — trzy te nazwiska zafascynowały sportsmenów-lotników, iż wszyscy, mimo wszelkich trudności organizowania podobnych nadoceanicznych lotów, zapragnęli, jeśli nie pobić, to przynajmniej dorównać śmiałym rekordom.

Wyleciały więc różne „Niebieskie ptaki", „Ptaki tango", „Old Glory" — by nigdy nie wrócić, zamykając w nurtach oceanu tajemnicę ostatnich zmagań dzielnych śmiałków.

Obok szlachetnej ambicji nieustraszonych pilotów, zanotować należy inne, mniej szczytne objawy, które się uczepiły sławy lotników, pragnąc eksploatować ją wyłącznie dla sensacji. Oto znalazł się taki gentleman, co siedząc na Kubie (atmosfera tej wyspy, będącej centrum szmuglu alkoholowego do Stanów Zjednoczonych, mogła uderzyć prohibicjoniście do głowy) urządził coś w rodzaju „rally-paper", wyścigu nad Oceanem i do reszty podobno oszalał, gdy 3-ch z namówionych i opłaconych przez niego pilotów, zginęło bezpośrednio prawie po starcie. Innego dnia znowu donoszono o kilku bogatych histeryczkach, które za wszelką cenę, pragnąc być pierwszemi kobietami nad Oceanem (co za szczególna ambicja!) zawracały głowę pilotom, nieustannie ich nachodząc i wytrącając z równowagi. Nawet przebiegły Lewin musiał uciec cichaczem z Paryża, by odczepić się od różnych natrętów.

Na całę szczęście same państwa, przekonawszy się o bezskuteczności prób w obecnym burzliwym sezonie zakazały dalszych eksperymentów.

Co na to histeryczki?

Ostatni Neptun w tym sezonie



Oziębienie się wody morskiej uniemożliwia dalsze rekordy w dalekiem pływaniu. Ostatni ze sportsmenów w tym sezonie, James Brown, nie mógł mimo wysiłków, dopłynąć do brzegów Anglji.



„Dom warjatów"

Krotochwila K. Laufsa w Teatrze Letnim



Dyskusja w „Domu warjatów"

Pocieszna to historja ten „Dom Warjatów". Stary kawaler-dziwak ma szczególną zachciankę, od której odwieść go trudno. Ponieważ wszystko, co się dookoła niego dzieje, wydaje mu się mało ciekawe i pospolite, umyślił sobie tedy w poszukiwaniu emocjonujących wrażeń przeżyć choć jeden dzień w domu warjatów.

Z tej zachcianki zwierza się młodemu krewniakowi, który za spełnienie jego życzenia ma otrzymać w nagrodę pewne dobro doczesne.

Niezaradny krewniak wtajemnicza w tę dziwną historję swego młodego przyjaciela, kawalera z zawodu, i ten, nie mogąc udostępnić wujaszkowi — dziwakowi prawdziwego domu warjatów, sprowadza go do Bogu ducha winnego właściciela pensjonatu, twierdząc, że to kierownik domu zdrowia, a wszyscy mieszkańcy tego domu — to warjaci.

Pomijamy na chwilę pocieszne sytuacje, jakie nasuwa tego rodzaju eksperyment, i dochodzimy do przekonania, że komedja „Dom Warjatów" ma swoją wcale nie głęboko ukrytą filozofję, rozświetlającą horyzont granicy między umysłem zaćmionym a zdrowym.

Rozpoczyna się spoglądanie na ludzi w istocie zdrowych, jak na warjatów; szaleńców, furjatów i idjotów. Bohater komedji nie tylko wierzy, że ma do czynienia z warjatami, lecz nawet wpływ tych umysłów z krain nieświadomości odbija się na nim w sposób subjektywny, cała jego konstytucja psychiczna powoli nagina się do tego samego rodzaju myślenia, co rzekomi warjaci. Ale to nie wszystko.

Ten specyficzny wpływ warjatów na otoczenie przekracza chwilami rampę sceniczną i podstępnie wkrada się w szeregi widzów, z których każdy mimowoli zaczyna ostrożnie i trwożliwie badać siebie samego, analizować swoje czyny i swój sposób myślenia. W takim momencie widz rozdwaja się: na obserwatora i „warjata" i mimowoli z przerażeniem dostrzega, że nie trudno byłoby uwierzyć, że i on jest warjatem.

W ten sposób autor zdołał wyśmiać swoich bohaterów, uczynić z nich figury pocieszne, a ich charaktery, słabostki i nawyknienia upodobnić do warjatów.

Rozśmieszył widownię, a sam w duchu, jak stańczyk, fika koziołki z radości, że i... widz jest wyśmiany.

Pyszna komedja. W założeniu żywa, niepokojąca oczekiwaniem na rozwój wypadków, w formie dosadna, w akcji płynna i nie nużąca.

Bohaterem był Orwid. Znakomity ten artysta znalazł wdzięczne pole do pokazania wysokiego kunsztu gry komedjowej. Swoim umiarem i spokojem rozśmieszał do łez. Dobrą była p. Rotter-Jarnińska. Hnydziński podobno przygotowuje się do roli zapaśnika walk francuskich ciężkiej wagi. P. p. Zakrzyńska i Lenerówna były bardzo miłe, zwłaszcza pierwsza.

Niewiadomo tylko, skąd się wzięła p. Irena Mielęcka, która grą swoją czyniła wrażenie zaledwie kandydatki na słuchaczkę do szkoły dramatycznej.

Reżyserja dyr. Chaberskiego pierwszorzędna. M. S.

Jeżeli polubiłeś „Ilustrowany Tygodnik Polski" i uważasz go za dobre i pożyteczne pismo, jednaj mu nowych abonentów.



Scena z „Hrabiny" w nowej oprawie scenicznej

Wyścigi psów...

„LECI PIES PRZEZ POLE, OGONEM WYWIJA...



Praktyczni sportsmeni zastępują żywego szaraka mechanicznym. Równiej biegnie i mniej kwiczy na finale.

Niepomiernie zdziwiłyby się nasze plebejskie Burki i Brysie, domowe Azorki i Żolki, ba, nawet raso-wo-sportowe, myśliwskie Dunaje i Azy, gdyby zobaczyły, jak w Anglji, smukłe charty, z numerami na barwnych czaprakach, całą psią swą ambicję wytężają, by dopaść umykającego po torze szaraka, wywołując niesłychany entuzjazm wśród tysięcy widzów na trybunach.

Co kraj, to obyczaj...

Nie odważyłby się przecież hiszpański prawodawca, zakazać nawet krwawych walk byków, w słusznej obawie przed poważnemi zaburzeniami, jak to miało miejsce w pokrewnej charakterem upodobań południowej Francji, gdzie władze, wbrew wyraźnemu prawu, muszą tolerować podobne widowiska.

A walki kogutów, które znajdują entuzjastycznych amatorów w Belgji, w niektórych prowincjach Francji i w krajach, zamieszkałych przez Hiszpanów?

Jedynie wyścigi koni, zdobyły sobie tak szeroką popularność, iż niema prawie kraju na świecie, gdzieby nie były uprawiane, nawet w wyjątkowej, z „wyjątkowego stanu“ poczętej, Rosji Sowieckiej.

Wyścigi psów, choć były ponoć znane i w starożytnej Grecji, choć kilkakrotnie próbowano wprowadzić je we Francji, jedynie uprawiane są przez anglo-sasów, a zwłaszcza w samej Anglji.

Przyczyniła się może do tego wszechwładna w tym kraju tradycja, albowiem, przed wielu laty jeszcze, królowa Elżbieta raczyła zaliczyć je do modnych widowisk.

A że każda rzecz u Anglików musi mieć nietylko swą tradycję, ale i odpowiedni klub, — sport ten, jeśli wyścigi psie mogą być zaliczone do sportów, pozostaje dziś pod wysokimi auspicjami tak zwanego National Coursing Club, który poza kultywowaniem starej tradycji, ma na celu opracowywanie statutów i regulaminów, organizowanie wyścigów i prowadzenie Wielkiej Księgi rodowodów psich zawodników.

Wyścigi psów, zwane „coursing“ mają swój sezon, dość długi nawet, bo ciągnący się od września do marca i uwieńczony wielkim dniem derby o rozgrywkę „Waterloo-Cup“ z cennemi nagrodami. Psie derby dopuszcza 64 kandydatów do zdobycia szeregu nagród, w sumie 1.600 funtów, przyczem I-a nagroda wynosi 500 funtów i 360 funtów tytułem premji dla hodowcy, t. zw. „Waterloo-Burse“, najniższa zaś nagroda wynosi 10 funtów.

Wysoka wartość tych nagród, mimo iż w pewnym stopniu jest ustosunkowana do znacznych kosztów, które pociąga za sobą utrzymanie psiarni wyścigowej, nie jest w stanie, nawet dla zdobywcy I-ej nagrody, pokryć wydatków, dochodzących nieraz do 4.000 funtów rocznie!

Przejdźmy do samych wyścigów.

Tłumy publiczności na trybunach utkwiły wzrok na torze, gdzie wkrótce dadzą sygnał do startu.

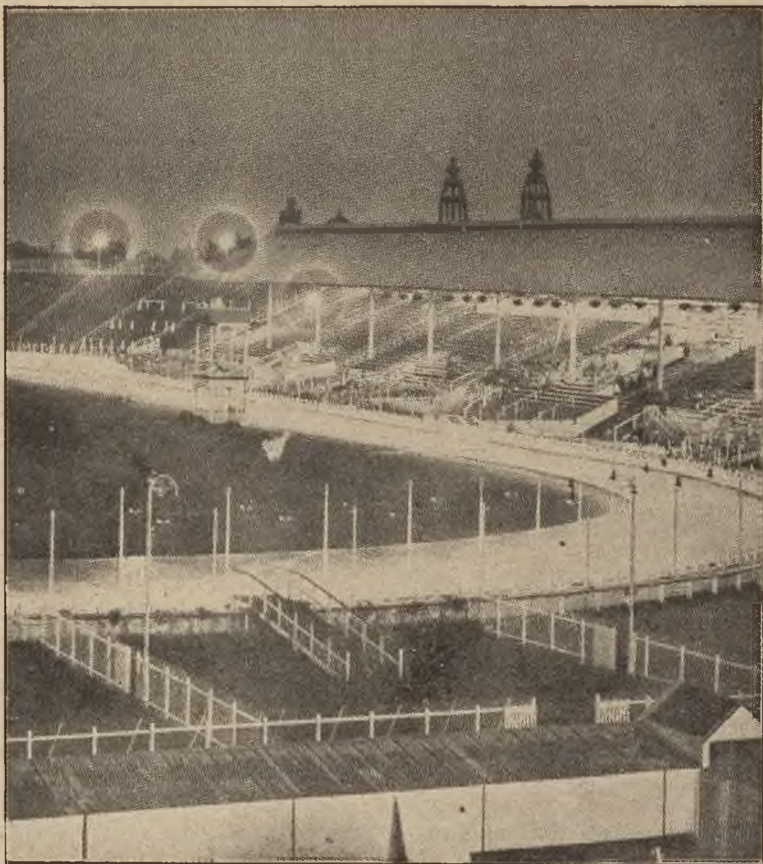
Wychodzi pierwsza para psów (zawody bowiem odbywają się parami, przechodząc drogą eliminacji, stosownie do punktów, do ostatecznej rozgrywki); trzyma je tak zwany „sliper“ na wspólnej smyczy, z której je wnet spuści w odpowiednim momencie, całą uwagę skupiając, by odbyć start prawidłowo i sprawiedliwie, przestrzegając ścisłej jednoczesności uwolnienia niecierpliwych zawodników. Jeszcze moment, a naganiacze wypuszczą szaraka. Sygnał... Umyka zając jak najchyżej, za nim puszczają się pieski... Wyścig rozpoczęty.

Rozpoczyna się tu jednocześnie trudna rola sędziego, który, cwałem, na koniu, mimo szybkiego tempa, pamiętać musi, by nie uszły jego uwagi najdrobniejsze uchybienia od regulaminu.

Pomyka więc sędzia z rozwianemi połami od klasycznego czerwone fraka, pilnie obserwuje, a jednocześnie musi umiejętnie kluczyć, by dopaść do mety w tym samym czasie, co zawodnicy, choć tempo jego konia nie może dorównać chyżości piesków.



Wstępny „galop“ ułatwia orjentację amatorom psiego hazardu



Piekny tor dla psiego sportu, którego mogą pozazdrościć nasze organizacje, dotychczas pozbawione odpowiednich stadjonów.

Żałosny kwik — już zając poddał się nieuniknionemu losowi, a uroczysty sędzia, choć srodze zziajany, reasumuje w pamięci cały przebieg wyścigu, gdyż przydział punktów zawodnikom wcale nie zależy od tego, który z nich pierwszy ucapił szaraka, a od maximum wykazanej chyżości przy jednoczesnem zachowaniu wszystkich, dość skomplikowanych zresztą, prawideł wyścigu.

Burza na trybunach, gwałt, rejwach, a przecież do finału jeszcze daleko...

Namiętności ludzkie są jednak trudne do okiełzania, zwłaszcza jeśli podsyca je hazard gry, widzowie bowiem poza zaciekawieniem sportowem, są przecież tylko ludźmi...

Tem właśnie trudniejszą jest rola sędziego, wymagająca wielkiej spostrzegawości i rutyny, a także gentlemeńskiego objektywizmu. To też godność sędziowska, uważana za bardzo zaszczytną, udzielana jest na drodze dorocznego wyboru z pośród członków klubu.

Biedny szarak nie ma żadnej ambicji i marnie ginie, taka już jego zajęcza dola...

Ale biedne bywają i pieski, w zapale wyścigu bowiem i przy zawrotnem jego tempie, które dochodzi do 70 kilometrów na godzinę, często ulegają wypadkowi, a nawet kalectwu.

To też, póki dostąpią zaszczytu wyjścia na tor, pieski przechodzą przez okres kilkumiesięcznego twardego treningu, który głównie polega na długich, forsownych spacerach, po 30—40 kilometrów dziennie, parę razy na tydzień.

Trener, któremu powierzone są te delikatne funkcje, musi posiadać nielada rutynę, znawcy bowiem utrzymują, iż daleko tu więcej potrzeba umiejętności, niż przy trenowaniu koni, i operowaniu dużą dozą wyczuwania „psiej indywidualności“, do której dostosować trzeba różne ćwiczebne praktyki.

Z pomiędzy wszystkich charcich odmian, stwierdzonem zostało, że angielska rasa, zwana „greyhound“ jest najodpowiedniejszą i Anglicy są z niej równie dumni, jak z przewagi rasy koni, którą tak pieczołowicie wyhodowali.

Można sobie wyobrazić, jak dumnym musiał być taki pułkownik North, którego chart Fullerton, aż czterokrotnie zdobył wielką nagrodę „Waterloo-Cup“. Z jakiem namaszczeniem musiał być wpisany rodowód tej psiej znakomitości do wielkiej księgi klubowej.

Bodaj to się urodzić na tej wyspie, gdzie i arystokratyczne psy dumnie muszą nosić głowy, śmiejąc się nietylko z „psiej nędzy“ biednych mizeraków, których pełno jest na świecie, ale i ze wszystkich azorów, które nie znały dni zwycięstwa i chwały...



Fullerton, czterokrotny zwycięzca Weterloo—Cup, przyniósł swemu właścicielowi cenny dorobek 3400 funtów.

Rozmaitości
Literackie i Naukowe

KOMINEK: Anegdoty, przypowieści, wspomnienia i przymówki. WŁADYSŁAW LUDWIK EVERT: Handlarze spojrzeń... (Opowieść naiwna i wielce prawdziwa. Z RYMÓW I RYTMÓW: Tadeusz Newlin-Wagner: „Ojczyzna", „Maki", „Biała róża".



Hieronim Powodowski w swojej „Propozycji z Pisma Świętego zebranej", Piotr Skarga w swoich „Kazaniach Sejmowych", a jeszcze wcześniej, i Kochanowski, i Rej, i Modrzewski — wszyscy ręce załamywali nad „zbytkami" które, jak morze, wszystko późne, byś tkał, niewiem jak sporze (Kochanowski).

A jednym z głównych grzechów, na który ludzie fortuny tracili było opilstwo, które w dzisiejszych opowiadaniach, zdaje się mieć wprost legendarne rozmiary. Jan Domaradzki poborca czopowego wykazuje, że w ciągu jednego roku 1602 szlachta w sanockiem wypiła, nie licząc gorzałki i piwa, 1966 beczek węgierskiego wina.

„Pierwej — mówi Skarga — rzadki miał piwo w domu, a teraz winem piwnice wonieją, i „dostatki, które z niego (dobrobytu) rosną, w próżne się utraty obraca, w zbytki i gnoje, a zamki puste, wieże próżne, drugie się obalają i gniją".

W innem miejscu, dosadnie porównuje wielki kaznodzieja: „nie masz czym przykryć i tego, co ojcowie dla obrony pobudowali... nie masz na ubogie i nędzne poddane... wszystko na zbytkach i sprosnych utratach ginie i w chlewkach zostaje. I tak się u nas niszczą przyczyny zguby sodomskiej"...

Tak nawoływali wielcy obywatele kraju, a szlachta, coraz bardziej oddana deliberacjom, kampanjom wyborczym, rebeljom i konfederacjom, pławiła się po prostu w trunkach, by znaleźć w nich niezbędny animusz i podsycić fantazję.

Na nic się nie zdały przestrogi, rok każdy przynosił coraz większe rozluźnienie obyczajów, niczem zresztą niehamowanych przez powagę autorytetu władzy, a zwłaszcza, gdy korona dostawała się obcym ojczyźnie monarchom.

Piła więc szlachta na umór, bankietowała, by wreszcie, wraz z królem swym stać się przyczyną znanego powiedzenia:

"Za króla Sasa
Jedz, pij i popuszczaj pasa"

Typy czterech pijaków za Augusta III, z których każdy wielkie piastował dostojeństwa, dosadnie charakteryzują tę epokę, co poprzedziła upadek Polski.

Byli to Janusz Sanguszko, marszałek nadworny litewski, Adam Małachowski, krajczy koronny, Karol Radziwiłł, wojewoda wileński i Borejko, kasztelan zawichostski.

Najmniej przysporzył kronice anegdotycznej Sauguszko. Znanym był pijakiem — i kwita.

Zato trzej pozostali, z których każdy był odmiennym typem pijaka, to legendarne, rzadko spotykane w światowej historji obyczajowej postacie.

Borejko, to typ pobożnego pijaka. Szczególne upodobanie znajdował w ucztowaniu z duchownymi i z nimi urządzał zamknięte zgromadzenia, trwające po kilka dni. Sam przytem przestrzegał, by o 11-ej wieczorem przerwano biesiadę, następowała bowiem „hora canonica", czas skupienia przed nabożeństwem, po którem również przez kilka godzin zachowywano wstrzemięźliwość. A później... znów od początku, aż do utraty przytomności.

Gdy wyższe władze duchowne, spostrzegły jak demoralizująco działa pan kasztelan na tych księży, którym droga wypadała przez dobra Borejki, srodze nakazały im unikać tego zgubnego towarzysza i majątek zdala omijać.

Nie dał i wtedy Borejko za wygrane. Wzniósł więc na rozstaju dróg kapliczkę pod wezwaniem św. Jana Niepomucena (?) i oczekiwał podróżnych, których siłą zatrzymywał i spajał do utraty przytomności. Z nastaniem nocy specjalni stróże czuwali nad całością mienia podróżnych, którzy pokotem leżeli u stóp kapliczki, a Borejko, że łeb miał twardy, wracał na nocleg do dworu.

Istnieje nawet przymówka do nazwiska Borejki, w której nieznany autor, chcąc, jak mówi Kitowicz „kląć drugiego z dosadnością przekleństwa" powiada: „bodajeś tyle djabła zjadł, ile pan Borejko".

Adam Małachowski, to pijak-sportsman. Szczególną pasją jego było spajanie gości z upodobanego przez się pół garncowego kielicha, zwanego „Corda fidelium". O kielichu tym wspomina F. Morawski w „Dworku mego dziadka": opisując baterję różnych szkieł, z których wówczas pijano, a wszystkie pojemności od pół garnca wzwyż, autor powiada:

„...Corda Fidelium nad wszystkie górował.
Pysznił się, że sam Cześnik przed nim z strachu zmykał
A zwalił chorążego, choć jak beczka łykał.

Przymówki

Na świętego Michała (29 września)

Michałkowe siano,
Marcinkowe żytko —
mało warte wszystko...

Gdy ptaszki przed Michałkiem odleciały,
ostry będzie grudzień cały...

Gdy noc jasna na Michała,
to nastąpi zima trwała...

Gdy na Michała wiatr północny wieje,
na niepogodę miejmy nadzieję

Niejeden Cześnik i chorąży, gdy mieli sprawę do pana Krajczego Koronnego, posyłali naprzód parlamentarza, by otrzymać od Małachowskiego piśmienne zobowiązanie na zwolnienie od picia z tego groźnego kielicha.

Znalazł się wszakże takiej siły pijak, co i Małachowskiemu zaimponował. Był nim kwestarz-bernardyn z Wielkiej Woli.

Przyjechał ów braciszek do majętności pana krajczego, a gospodarz ręce zacierając z radości, iż znalazł ofiarę na „Corda Fidelium" wezwał go, jak było w zwyczaju, do wypicia kielicha jednym haustem, by kropli na dnie nie zostało. Po pięć razy udawał zakonnik, że nie może spełnić wymagania, za szóstym dopiero wychylił wszystko, pokłonił się i najspokojniej wsiadł na bryczkę. Małachowski, widząc, iż braciszek z niego zażartował, nie posiadał się ze złości, siłą ściągnął go z pojazdu, srożył się i tupał, — a gdy się wreszcie pogodził z niezrównaną krzepą głowy bernardyna, zaprosił go do dalszej uczty, której zakonnik nie odmówił.

Trzy garnce wina duszkiem, jako wstęp do uczty, co za niesłychany rekord!

Karol Radziwiłł, to znów typ w Polsce najpospolitszy, pijaka-awanturnika.

Od chłopięcych lat przywykł był do picia, iż w dwunastym roku już się upijał. W osiemnastym, był takim rozpustnikiem, że, jak mówiono powszechnie, „włosy z głowy wydzierała ta dziewczyna, do której przemówił".

Wśród niezliczonych awantur pijackich, które wyprawiał, jedna z nich w szczególności zasługuje na zanotowanie.

Podczas jednej z biesiad towarzyskich, książe, jakoże trudno było bez zwad, miał ostry zatarg z pisarzem w. ks. litewskiego, Pacem, i wyzwany został na szable.

Gdy wszyscy się rozjechali, Radziwiłł dopędził Paca i, srodze poturbowawszy pachołków, porwał pana pisarza i zawiózł do zamku.

Tu wymyślił swemu przeciwnikowi najrozmaitsze udręki: inscenizował sąd, wyrok jakiś ferował, a wreszcie, uprzednio poleciwszy Pacowi dysponować się na śmierć, rozkazał, by wyprowadzono go na podwórze, gdzie wszystko przygotowane było do kaźni.

Biedny skazaniec drżał ze strachu, tem więcej, iż nerwy, osłabione alkoholem, znieść nie mogły tak niesłychanej niespodzianki.

Aż Radziwiłł widząc, iż dość nadworował się z nieszczęsnego pisarza, oświadczył, iż wszystko jest żartem.

— Widzisz — przymawiał książe — jakem cię nastraszył, więcej niż ty mnie pojedynkiem.

„Polska Riviera" nad Bałtykiem



Pensjonat „Polska Riviera" w Zoppotach cieszy się zawsze wielką frekwencją polskiej publiczności, która chętnie korzysta z jego wykwintnych i gościnnych podwoi.

Zakończyło się, jak można przewidzieć, ucztą, ale i pogrzebem, bo i Pac, chcąc odpłacić pięknem za nadobne, przez trzy dni pił i... przy kielichu zmarł. Nie wytrzymał ponoć minionego strachu.

— — — — — — — —

Tak to sobie „illo tempore" używano i... nadużywano.

Wypada jednak powiedzieć na zakończenie, iż dzika ta rozpusta, z pewnością, naruszała ogólną harmonję, niezbędną dla normalnego rozwoju życia społecznego, nie jeden atoli z tych pijaków, ten sam chociażby Książe Karol, zwany Panie Kochanku, był dzielnym i zasłużonym obywatelem kraju.

WŁADYSŁAW LUDWIK EVERT

Handlarze spojrzeń...

(Opowieść naiwna i wielce prawdziwa)

Odrębne zupełnie stanowisko posiadał mały, stosunkowo, salonik-buduar, znajdujący się po przeciwnej stronie, oddzielony od amfilady pasażem, przemienianym w dniach przyjęć w rodzaj palarni-oranżerji.

Wzięła go w wyłączne, niemal, posiadanie gromadka młodych bywalców, czy to istotnie najbardziej zżylych z domem Pappenbergów, czy też forsownie za „zżyłych" przez gospodarzy uważana. Rządziła tam niefrasobliwa wesołość, a panował Nörwigh. Nowi przybysze wpuszczani byli niechętnie — niepożądani a uparci, bywali skutecznie mrożeni. Po przewinięciu się przez oficjalną amfiladę, po dłuższym lub krótszym pobyciu w jednym z salonów, uprzywilejowani ci szczęśliwcy zbiegali do okupowanego saloniku, by nie opuszczać go, przeważnie, w ciągu wieczoru. Po skończonym przyjęciu, gdy pustoszała sztywna amfilada, podawano kolacje, do której prócz gospodarzy i kilku „salonowych" czy „gabinetowych" gości, zasiadali i „autonomiści" jak ich nazywał p. Seweryn.

Ten mały salonik był oczkiem w głowie baronostwa — woleliby oni stracić połowę swych gości, niż jednego choćby „autonomistę" — i nietylko dla tego, iż było to kółko zgrane, wykwintne, — że niejedna jego opinja, czy twierdzenie obiegało miasto, nabierając waloru obowiązującego niemal poglądu — lecz i dla korzyści realnych, które przynosiło gospodarzom. Pan Seweryn nie był snobem zbyt jaskrawym — ambicje jego leżały raczej w sferze groszoróbstwa i rozkoszy cynicznie za pieniądz uzyskiwanych — nie negował on, jednak, przed sobą, zadowolenia próżności własnej, z posiadania w domu swym co tydzień, a i częściej, ludzi o których nieraz napróżno zabiegały konkurencyjne salony.

A do tego p. Seweryn Pappenholz-Pappenberg znał ludzi, znał wartość słów i powab, jaki miały jeszcze herby, nazwiska i firmy. Oceniał on świetnie nieuchwytny, a jednak ogromny zysk, z możności niektórych wyznań czy powiedzeń.

Dla domu Bankowego Pappenholz-Pappenberg, niezmiernie korzystne było, gdy szef firmy, firmy zabiegającej mocno o ziemiańską i grubomieszczańską klijentelę, na luźną uwagę jakiegoś ziemianina Kaźnieckiego czy kupca Kiełbasiewicza o „zmęczonym wyglądzie p. dyrektora" mógł odrzec z pewnym zmęczonym, zblazowanym gestem:

— Ach, wie pan! Wczoraj do późna w noc zasiedzieli się u nas goście: swoje, najściślejsze kółko; książę Podhorecki dokazywał jak dziecko, pan nie ma pojęcia jaki on miły, gdy się rozbawi — a Nörwigh oślepiał wprost fajerwerkami swych paradoksów. To dziwny i ciekawy umysł, ten Nörwigh, a jak się gniewa gdy mu powiedzieć „margrabio". Jeden z dwóch margrabiów w całej Polsce, tylko że Wielopolski włoski, a on niemiecki — i do tego kawaler maltański. Jakie to zabawne, kawaler maltański w dwudziestym wieku. Co? Straszni mili ludzie... a taki Wożerski — kandydat do premji Nobla... No ale wracajmy do interesu...

Zaś pani Aldona czuła i wiedziała, że w towarzystwie tych ludzi, ludzi o starej kulturze, jej umysł, inteligencja i dowcip, wyostrza się znakomicie, nabiera koloru i połysku, że swoją famę „bel esprit" zawdzięcza w dużym, bardzo dużym stopniu Nörwighowi właśnie.

Nörwigh — „brzydki jak małpa i interesujący jak szatan" — według oświadczenia pani Iny Bożobohatskiej, której określenia miały od dwóch sezonów walor dogmatu — był duszą i centrum kółka. — Berło panowania dzielił z Podhoreckim a czasem i z Ważerskim, z którymi żył w najprzykładniejszej zgodzie i przyjaźni, mimo tysiąca zjadliwych strzał, którymi obrzucili się nawzajem, dając swą rozmową rzadkie widowiska najkarkołomniejszych myślowych przerzutów, spalając w oślepiającym fajerwerku aforyzmów, całe tonny myślowego prochu.

Od trzech miesięcy blizko, Nörwigh wszystkie swe flirty zdradził dla Lu — (dla wszystkich innych p. Oda Kwiecińska) rudowłosego chochlika, roześmianego każdą fibrą, czarującego każdym gestem. W jej towarzystwie nie można było być ani w złym humorze, ani smutnym. Moc jej polegała na tym swoistym, indywidualnym, wyłącznie własnym, czarze i wdzięku, który gasi najpiękniejsze rywalki, rozchmurza najoporniejsze serca.

Panna Ola Kwiecińska z trudem tylko mogła uchodzić za ładną — zdobywała sobie jednak wstępnym bojem, mimochodem jakby, niemal mimowoli, powodzenie takie, o jakie kusićby się mogły jedynie istotnie ładne, więcej, uderzająco ładne, kobiety. Kontrast wichury złoto-rudych włosów, tych tak rzadkich, „impertynencko złotych, niemal rudych" z czarnemi mocnemi łukami gęstych brwi; mądre, wesołe, a powleczone leciutką mgłą marzenia, czy smutku, piwne oczy; rozdęte chrapki i szkarłatne „zmęczone od pieszczot" usta — wrodzony spryt, nietuzinkowa inteligencja, zuchwalstwo myśli i odwaga czynów, zupełny niemal, zanik t. zw. „ostoi moralnych" przy wstręcie do każdego nieestetycznego odruchu — ogromna wreszcie układność, przymilność, wrodzona potężna chęć podobania się, wyrażana tysiącem drobnych a nie rażących nigdy odruchów, całość, skraszona dowcipem i nie narzucaną, raczej maskowaną glebią myśli, oto szkicowy zarys ostatniej flammy Nörwigha.

Przyszedłszy koło dziesiątej wieczór — z Nörwighiem rozstał się po dziewiątej — Zhorski prze-

sunął się przez salony, zamienił parę rozpalonych spojrzeń z p. Aldoną i widząc ją otoczoną całym gronem gości, przeszedł do małego saloniku, wiedząc, że i tak, przy pierwszej sposobności, p. Aldona wpadnie tam choćby na chwilę. W pasażu spotkał p. Podlesińskiego, młodego, bardzo modnego poetę i zamienił z nim przelotny uścisk dłoni.

W saloniku zebrane już było całe niemal kółko— brakło tym razem Podhoreckiego, który polował na wilki i Ważerskiego, który był w Wiedniu na premjerze swej sztuki. Było natomiast parę osób nowych: a między nimi Olwing.

— Spotkałem, w drzwiach niemal, Podlesińskiego — rzekł Zhorski, przywitawszy obecnych, — miał mocno niezadowoloną minę...

Lu zaśmiała się srebrzyście. Śmiech Lu był najpotężniejszą bronią w arsenale jej wdzięków. Dla niego można było jej wybaczyć wiele, jeżeli nie wszystko bodaj. Serdeczny, szczery, nawskróś dziecinny, a pełen tajonych obietnic kobiecości żądnej życia i użycia, zaraźliwy, a nieprzymuszony, wybuchał spontanicznie przy każdej okazji. Śmiechem tym, śmiechem, który zapełniał pokój słońcem, wynagradzała Lu swe wady, wśród których nienajmniejszą było samochwalstwo i pewna chełpliwość ze swych powodzeń i konkiet — konkiet nieraz nie najwybredniejszych. Lu znała wagę swego śmiechu i śmiała się często.

— Pan Sław miał z nim krótką, a nieprzyjemną rozmowę, po której pan Podlesiński zemknął pod pierwszym pozorem.

Zhorski podniósł pytająco brwi.

— Pan Podlesiński zachowywał się nieprzyzwoicie — wyjaśnił Nörwigh.

— Ależ nic podobnego — zaprotestowała urażonym tonem p. Helena Majewska, niewyraźna szatynka, kuzynka, pani domu — pan Gustaw był zupełnie na miejscu, mówił o swej tęsknocie, o smutku... był bardzo interesujący i miły...

— Uważamy wprost przeciwnie — Nörwigh w chwilach uroczystych używał liczby mnogiej. Czynił to, jak sam wyznawał skromnie, z szacunku do siebie i łagodnej, przyjaznej a pobłażliwej wzgardy dla otoczenia. — Afiszowanie się swemi tęsknotami czy smutkami, jest równie nie na miejscu, jak ogłaszanie towarzystwu, że nas brzuch boli.

— No, wie pan... oburzała się p. Majewska — też porównanie i wyrażenie. A do tego zupełnie niesłuszne; to co pan powiedział... jest nieestetyczne, gdy tymczasem...

Nörwigh wzruszył ramionami.

— Smutek jest również nieestetyczny z punktu widzenia radości życia, jak i niedyspozycja żołądkowa. Ogłaszanie światu swych niedomagań duchowych stawiamy na tym samym poziomie towarzyskiego nietaktu, co powiadamianie o niedomaganiach fizycznych. I dla tego byliśmy wprost oburzeni nonszalancją tego młodego człowieka, przekonanego wprost bezczelnie, iż dolegliwości jego „duszy“ — słowo te Nörwigh podkreślił przesadnie — patetycznie — winny nas zainteresować i służyć przedmiotem dyskusji. Smutek duszy, świerzba ciała — Ma foi, zaliczamy to do jednako intymnych, ściśle osobistych i nieprzyzwoitych tematów. Świetna malaga — zakończył nieprzewidzianie, podnosząc do ust płaski, na wysokiej nóżce, kieliszek.

— Nie lubię dyskutować z panem, dyskusja sprawia mi przykrość — spróbowała ukłuć p. Majewska.

— Albowiem dyskusja jest zwierciadłem, w którym przegląda się nasza umysłowość — odparł pogodnie Nörwigh.

Zanim p. Majewska zorjentowała się w istocie tej odpowiedzi, Zhorski zamatował ją, zwracając się do Lu:

— Panno Olo — fortepian czeka na panią. Obiecała mi pani grać Liszta.

— Niech mu pani odpowie: promettre c'est noble, tenir c'est bourgeois, — poddał Nörwigh.

Lu zaśmiała się znowu.

— Przedtem muszę wygrać p. Sławowi wszystkie wojskowe piosnki — obiecał mi za to kieliszek malagi i wiersz z dedykacją. Malagę już wypiłam, a na wiersz czekam.

Zhorski zwrócił się do Nörwigha.

— Ponieważ mój Liszt idzie po twoich piosenkach, bądź więc tak dobry: płać odrazu i z góry.

— Gra panny Lu jest bezcenna — nie mogę się więc nawet kusić, by ją kupić, czy opłacić — oświadczył Nörwigh.

— Widzę, że nie dostanę mego wiersza i nie ujrzę dedykacji w druku — stwierdziła z zabawnym smutkiem Lu:

— Owszem. Dostanie pani wolny przekład jednej z ładniejszych drobnostek Igora Siewierjaninowa — rzekł Nörwigh, poczem umoczywszy usta w maladze, począł mówić półgłosem:

Od skier malagi w oczach rubiny
rubiny żądzy i marzeń ścieg —
w czarach z kryształu krew jarzębiny
i białopudry i słodki śnieg.

Śnią się upojne chwile colage'u
Zawrotne, tajne, złe, rendez-vous —
— Zwiedzę dziś z panem kraje mirażu —
Szepnęła cicho malutka Lu.

Zalśniły w oczach tajemne Sagi
Serce śle ustom krwawiącą dań
— omdlały lekko od czar malagi
goździków główki i główki pań...

— Dowiadujemy się ładnych rzeczy o pani skłonnościach podróżniczych — uśmiechnął się Zhorski.

— A wszystko przez poetyczną niedyskrecję pana Sława. Niech mi pan zapisze, schowam sobie ten wiersz między bieliznę.

— A to czemu tam, zainteresował się któryś z obecnych.

— Między bieliznę kładzie kobieta to co ma najdroższego, a więc listy kochanka i pieniądze wyłudzone od męża, — pojaśniła niefrasobliwie Lu. — W oczekiwaniu na jedno i drugie, wiersz pana Sława znajdzie tam przytułek.

(D. c. n.).

Z rymów i rytmów

OJCZYZNA

Jeśli rycerz nieczujny na siodle zadrzemie,
Nie stały przeto wici, ni zarzewie zgasło...
Nie zmarnieje w Ojczyźnie raz posiane siemię,
Nie zginie od prawiecza w świat rzucane hasło.

To Słowo pokoleniom jawi się nienowe,
Choćby przez mgłę zapomnień, przez tuman zwidziska,
A chleb Ojczyzny, niby Ciało Chrystusowe,
Tryska wieczyście żywą krwią — i łzami tryska.

Przeto zaiste warto płomień wiecznie żywy
Podsycać własnym żarem — a serce spopielać,
Brać Komunję Żywota z krwią polanej niwy
I pod chleb, który wzejść ma, znowu krew swą przelać.

I tylko wiedzieć trzeba, żeśmy nie na stypie;
Jednem życiem od wieków szumią łany żytnie...
Serce, Ojczyźnie wierne, gdy się w proch rozsypie,
Znowu Ojczyzną będzie, kiedy w kłos wykwitnie.

MAKI

Na mojem polu, na moim łanie,
Krwawe przed laty było spotkanie.
Krew na mem polu ciekła przed laty —
Dziś na niem maków płoną szkarłaty.

Szkarłatem jasnym mak każdy płonie,
Jakby krew żywą miał w swojem łonie.
A gdy nadchodzi żar południowy,
Omdlałe maki schylają głowy...

Krwawe zapasy, rycerskie boje,
W złote południe śnią maki moje.
Orężne walki orężną sławę,
Na krwawem polu śnią maki krwawe.

BIAŁA RÓŻA

— Nie co ranek tak jest, nie co rano —
Nieskalaną rozkwitłaś nam bielą;
Nim cię słońca pożary spopielą
Jesteś lata pogodą rozśmianą.

— Jakże falą beztroski wezbraną
Śmiechy — głosy się w słońcu weselą,
Nim omdleją pod żaru topielą,
Nim deszcz skargą zakończy je szklaną.

Złe wspomnienia, przeczucia złe chłonie,
Zamykając w przeczystem swem łonie,
Róża, krótko kwitnąca w ogrodzie.

Ludzka dusza nie pomni, co smutki;
— Niechże sen ją kołysze zakrótki,
Krótki sen — o wieczystej pogodzie. —

Tadeusz Newlin-Wagner.

Moda

Skończyły się beztroskie wywczasy, na których miłe Czytelniczki, pragnąc i nam dać odpocząć, zadawalniały się byle jakimiś strojami letnimi i byle jaką rubryką z dziedziny mody.

Dziś, coraz częściej przychodzą do nas listy z przeróżnemi zapytaniami, jak to będzie, co należy, czego już nie można...

Więc wzięliśmy się do pracy, tem poważniejszej, że to nie jak z pogodą, w której każdy sobie Pim i może zgadywać — a trzeba bez końca studjować, by móc opowiedzieć, od a do z, od góry do dołu i do najtajniejszych dessous, co we wszelkich i mnogich okolicznościach, a także przy różnorodności budżetów, będzie noszone.

Dziś więc poświęcimy kilka słów modnym barwom.

Konstatujemy przedewszystkiem zachowanie umiaru i dyskrecji w bogatej symfonji kolorów, którą rozporządza współczesne farbiarstwo.

Najnowszą barwą na płaszcze — jest żółty prawie odcień „Chamoix".

W kolekcji dziennej dominuje kolor brunatny, migdałowy i, niezmiernie zawsze dystyngowany, popielaty. Szykownym jest czarny, który coraz częściej kombinuje się z białym. Obok tego, jako inowację wprowadzają usilnie zielony we wszelkich odcieniach, oliwkowy, bronzowawy, wpadający w żółty, miękko pastelizowany. Tak modny niedawno niebieski kolor coraz rzadziej spotyka się, chyba ciemny bardzo granat. Czerwone barwy znikły zupełnie.

Na wieczór, obok czarno-białych i biało-czarnych kombinacyj, spotkać będzie można masę różowego w najrozmaitszych odcieniach, o ładnych nazwach jak „rose-souffle-de-rose" (tchnienie róży), „rose aurore" (różana jutrzenka) i t. p., świadczących o upodobaniu do łagodnych, pastelowych tonów. Przy różowym kolorze nawet spotyka się tendencja do coraz częstszego używania czarnego.

Jeszcze dość bogato wygląda ten zapowiadany umiar — westchnie niejedna z Czytelniczek.

Ale na to nic nie poradzimy...

Wydawca: Polskie Biuro Wydawnicze. Redaktor: *Eugenjusz Rafalski.*

Zakłady Graficzne „Polska Zjednoczona", Warszawa, Nowolipie 2.